

K.M. Urodziłam się 1 stycznia 1925 r. w miejscowości Kownacinek w powiecie Szczuczynskim na Mazurach - 3 km od dawnej granicy pruskiej.

- Wywieziono Panią wraz z całą rodziną. Jak to wyglądało ?

K.M.- W czerwcu 1941 r., przed wybuchem wojny rosyjsko - niemieckiej, w nocy ok. godziny 2 - 3 pod dom podjechały samochody. Funkcjonariusze NKWD obstawili dom i po prostu kazali nam się pakować. Rodzina była liczna - rodzice, najstarsza siostra z 9-cio miesięcznym dzieckiem (jej męża zabrali do obozu rosyjskiego we wrześniu 1939 r., później zginął pod Monte Cassino), dwie starsze ode mnie siostry, dwóch braci i ja. Z tym, że jedna siostra została w mieście w szpitalu - miała nogi w gipsie i nawet nie wiedziała, że nas wywożą. A brat - ponieważ jego żona z małym dzieckiem była u swoich rodziców i bał się, by ich nie wywieźli bez niego - uciekł. Po prostu powiedział enkawudzistom, że nie jest z naszej rodziny. Pożegnał się z rodzicami i wyszedł. Nie mieliśmy nic - nie byliśmy przygotowani, ale ten kapitan enkawudzista okazał się "ludzkim" funkcjonariuszem; pozwolił nawet zabić świniaka. Nasolone mocno mięso zapakowaliśmy w bańki od mleka. Zabraliśmy też trochę mąki i innych produktów. To wszystko, co mogliśmy ze sobą zabrać.

Samochodami ciężarowymi zawieźli nas na stację Grajewo - to była najbliższa stacja PKP. Tam załadowali nas do pociągu - do wagonów bydłych. Okienko było zakratowane, drzwi pozamykane na sztaby.

Córeczka mojej siostry była bardzo chora. Baliśmy się, że ma dyfteryt. Mówimy tym enkawudzistom, że dziecko umiera. Powiedzieli: "Jak przyjdzie lekarz i stwierdzi, że dziecko jest rzeczywiście chore i wymaga leczenia szpitalnego, to matka z dzieckiem zostanie. Faktycznie przyszedł lekarz - na nasze nieszczęście Żyd. Obejrzał dziecko i stwierdził, że nie widzi niczego złego. Siostra zaczęła płakać i prosić - błagała, żeby dał takie zaświadczenie. A on mówi tak: "Chce pani, żeby mnie za panią wywieźli ?". I musiała z tym chorym dzieckiem jechać. Jakim cudem się nam ta mała uratowała ?

- Jak wyglądała podróż i jak długo trwała ?

K.M. Była straszna. W wagonie jechało kilka rodzin. W podłodze była dziura do załatwiania się. Młodzi zaraz powiesili tam jakąś kotarę, jakiś koc. Ja w tym czasie miałam 16 lat. Transport był bardzo długi. Nasz wagon był 54.-ty, a za nami było jeszcze 50 wagonów. Jak nas przywieźli do Mińska i przekroczyliśmy granicę polską - odczepili 2 lokomotywy. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Okazało się, że w okolicy Mińska zaskoczyła nas wojna rosyjsko - niemiecka. Wybuchła panika. Bo przecież Stalin nie przypuszczał, że Hitler go tak zaskoczy. Podzielili Polskę między siebie i pomagali sobie.

Staliśmy na bocznicach i widzieliśmy wagony pełne zboża i mięsa jadące do Prus Wschodnich.

Dziś trudno uzmysłowić sobie, jak myśmy się tam odżywiali. Nie mieliśmy nic do picia. Prosiłam na stacjach, przez zakratowane okno spuszczyliście bańki, żeby nam chociaż wodę podali. Faktycznie - Rosjanki podchodziły, podawały nam gorącą wodę. Mówiły enkawudzistom, którzy otaczali wagony, żeby szli na "germańca", a nie wywozili kobiety i dzieci.

Podróż trwała bardzo długo, gdyż po wybuchu wojny musieli najpierw zająć się wojskiem. Nieraz stało się po parę dni na bocznicach, bez jedzenia. Żywiliśmy się tylko zapasami zabranymi z domu.

Od kolejarza dowiedzieliśmy się, że wiozą nas w kierunku Kaługi - czyli na Syberię. Utkwił mi w pamięci przejazd przez Ural: z jednej strony strome góry, z drugiej, w dole, rzeka Ural. Wagonami rzucało na wszystkie strony. Baliśmy się bardzo, żeby nas tam nie wyrzucili.

W końcu dojechaliśmy do Omska. To była nasza ostatnia stacja kolejowa, dalej nie można było jechać. Załadowano nas na samochody ciężarowe i zawieźli do olbrzymiego cyrku, budowanego jeszcze za carycy Katarzyny. To był kłószmar - mnóstwo ludzi, każda rodzina siedziała na swoich tobołkach. Prawdopodobnie było tam kilka transportów. Nie wiedzieliśmy - co będą z nami robić dalej - rozstrzeliwać, topić, czy co ? Ani jeść, ani pić nie dawali.

Wśród nas było sporo młodzieży. Zaraz znalazła się gitara, zaczęto śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła". Śpiewała też moja starsza o dwa lata siostra. Enkawudzistom bardzo się to nie podobało, zaczęli baczniej obserwować.

Tymczasem mieszkańcy Omska Podkopywali się pod mur otaczający teren cyrku i przekazywali nam karteczki. Pisali, żeby się nie dać wywieźć, że oni nam pomogą. Więc gdy enkawudziści chcą ładować nas na samochody - my nic. Wszyscy twardo siedzą na swoich tobołkach. W końcu wystąpiła moja siostra i mówi, że wśród nas są przecież małe dzieci, kobiety ciężarne, kalecy na wózkach i chorzy. A oni nie dają nawet nic do jedzenia.

Wkrótce potem do siostry podszedł enkawudzista i powiedział, że jeśli chce lekarza, to ma z nim pójść. Siostra zgodziła się. Jak poszła - to już nie wróciła. Okazało się, że ją zaaresztowali. Zaaresztowali więcej spośród tej młodzieży, która się tak bojowo zachowywała.

- A co się stało z tymi, którzy pozostali w cyrku ?

K.M. - Powieźli nas dalej. Nagle otworzyły się bramy cyrku; weszli enkawudziści z karabinami i zaczęli ładować nasz dobytek na ciężarówki. Kto nie pójdzie za swoimi rzeczami ? To było wszystko, co posiadaliśmy.

Zawieźli nas na przystań. Załadowali nas na statek i dalej popłynęliśmy rzekami Irtysz i Ob. Statek był pasażerski, ale nam nie wolno było wychodzić na pokład. Cały czas siedzieliśmy w maszynowni. W ten sposób dopłynęliśmy do Surgutu. Tam wpakowali nas do baraków nad rzeką. Było tam masę różnych narodowości - Rumuni, Łotysze, Polacy, Litwini i Żydzi. Warunki były straszne - żadnego kontaktu ze światem, jedynie latem kursowały tam statki. Mrozy były potworne - gdyby nas nagle zaskoczyła zima, to byśmy się stamtąd nigdy nie wydostali.

- Jacy byli żyjący tam ludzie ?

K.M.- To była dzicz. Dosłownie na naszych oczach, przed barakami odbywały się stosunki matki z synem. Żywili się korzonkami, surowymi rybami z rzeki. Można więc wyobrazić sobie, gdzie nas wywieziono.

Nie wiadomo, co chcieli z nami zrobić później, wywieźć dalej, czy zostawić ? W każdym razie *pod koniec 1941* roku przyjechali do baraku enkawudziści z Surgutu i mówią, że jest taka a taka sytuacja, że Anders, że Sikorski, że umowa ze Stalinem. Mówią, żeby nasi mężczyźni szli do wojska. No więc ojciec mówi, że pójdą, ale pod warunkiem przesiedlenia rodzin bliżej Europy.

Okazuje się, że jest to możliwe, pytają nawet, gdzie byśmy chcieli pojechać. Bardzo chcieliśmy na Ural, bo to granica między Azją i Europą, więc w razie czego byłoby bliżej do Polski. Niestety - na Ural nie zgodzili się. Wybraliśmy więc wojewódzkie miasto Tiumień nad rzeką Turą. To było już dla nas duże osiągnięcie.

Ponieważ ~~Ponieważ~~ nie wolno nam było zostać w mieście, wywieźli nas na wieś, 20 km dalej. Tam pracowaliśmy w kołchozie. Okazało się, że kołchoz nie zapłaci nam za pracę, bo jest biedny i nie ma pieniędzy. Wtedy nie mieliśmy już nic - zapasy się skończyły, polskie ciuchy sprzedaliśmy za kartofle, bo przecież trzeba było żyć.

Zwłaszcza, że mama ciężko chorowała. Zdecydowaliśmy się przenieść do fabryki, oni to nazywają "wojennyj zawod". Robiliśmy kule dla wojska,

łóżeczka chirurgiczne, potem także kamery do dezynsekcji ubrań wojskowych.

- Jakie były tam zarobki ?

K.M.- Zarabialiśmy bardzo mało. Za moją ciężką pracę - wyrabiałam 400 % normy - można było kupić wiaderko kartofli. Więc jeszcze po pracy chodziliśmy dorabiać do miejscowych gospodarzy. Byli to w większości ludzie wywiezieni tam po rewolucji.

Myśmy zawsze wierzyli, że wrócimy do Polski. Tata nie pozwalał nam rozmawiać po rosyjsku. "Niech się oni ucza" - mówił. Ludność tej wsi była dobra i przyjazna nam. Bardzo nam współczuli; mówili, że nie mamy co liczyć na wyjazd, że na pewno nigdy nie uda nam się wrócić do kraju.

W tym czasie, kiedy Sikorski organizował polskie wojsko, nam Polakom żyło się trochę lepiej, Ambasada Rzeczypospolitej wystawiła nam paszporty, w których było wezwanie do udzielenia nam pomocy przez lokalne władze. Dostaliśmy też pomoc z UNRY - trochę ubrań, mąkę. Ale oni nas oszukiwali - tę ładną mąkę brali sobie, a nam dawali tę ruską. Ale to i tak było dla nas bardzo dużo. Niestety, to był krótki okres. Jak tylko Anders wyprowadził wojsko, to wszystko się urwało. Pozabierali nam też paszporty. Ja mojego nie oddałam - powiedziałam, że byłam za młoda i w ogóle paszportu nie dostałam. Ciągali mnie potem długo po komisariatach NKWD, ale w końcu dali spokój. Po odebraniu paszportów otrzymaliśmy te same prawa co miejscowa ludność - mogli nas sądzić, mogli z nami robić wszystko.

W tym okresie, gdy obowiązywała umowa z Sikorskim, ojciec pisał listy do Stalina w sprawie mojej siostry aresztowanej w Omsku. Mimo wszystko wierzył jeszcze, że ona żyje. Rzeczywiście - znaleźli nasz adres i pozwolili jej wrócić. Wszystkie Polki, które siedziały w tym więzieniu w Omsku przyjechały do nas, do Tiumieni. Radość była ogromna, niesamowita.

- Ilu Polaków było w tej waszej miejscowości ?

K.M.-W naszej wsi było niedużo, bo się to wszystko rozproszyło. Części, zwłaszcza samotnym, udało się zostać w mieście.

A potem z tej Tiumeni porozwozili nas po okolicznych wsiach. Ale w jakich warunkach tam mieszkaliśmy ! Nasza chałupka to była jedna izba, w której mieszkała cała rodzina. W środku był piec - ktoś spał na tym piecu, reszta spała pod sufitem, na specjalnych deskach. Tylko mama miała blaszane łóżko. Nogi łóżka wstawialiśmy do puszek z wodą, żeby nie dostawały się na nie pluskwy. Ale to nie pomagało - spadały z sufitu, ze wszystkich stron. Było ich masę. Środków higienicznych, czy lekarstw praktycznie nie było wcale. Zresztą nie stać

byłoby nas na ich kupienie. Dorabialiśmy u Rosjanek, kopaliśmy im ogródki. Chodziliśmy po polach kołchozowych i zbieraliśmy zmarznięte ziemniaki, z tego robiło się placki do jedzenia. Jedliśmy młode pędy sosenek. Wszystko się jadło. Trawka jakaś pachniała czosnkiem, inna cebulką, to się ją zbierało. Żeby zdobyć kawałek mięsa łapaliśmy wroniaki, psy, zdechłe świniaki - bo rzeką na tratwach przewozili zboże i żywiec, więc jak im co zdechło, to wyrzucali. Najmłodszy brat łożył ryby. Chleba dostawaliśmy po 400 g na osobę pracującą. A chlebek był taki ciężki, taka glina, że na całą rodzinę otrzymywaliśmy jeden bochenek. Na osobę wypadała jedna kromka. I trzeba było tą kromką cały dzień żyć. Najstarsza siostra nie pracowała, prowadziła gospodarstwo i opiekowała się mamą. Miała przecież małą córeczkę. KOMBINOwała jak mogła, żeby zdobyć dla dziecka trochę mleka. Jedliśmy także mąkę na wodzie - t.zw. prażuchę - to było bardzo smaczne. Jak się to wspomina, to człowiek dziwi się, że przeżył. A przecież mama i tata ciężko chorowali, siostra (ta, która wróciła z Omska) zachorowała na gruźlicę, więc dawali jej tran. Ten tran był naszym zbawieniem, to był jedyny dostępny tłuszcz. Moczyliśmy w nim chleb i zjadaliśmy to z solą.

Do fabryki, w której pracowaliśmy, chodziło się 3 km wzdłuż rzeki. Do domu wracało się przeważnie w nocy. Jeśli wyrobiło się normę, pozwalali wyjść z pracy wcześniej. Mrozy były tak straszne, że zamarzały nam rzęsy i brwi. Ja pracowałam jako ślusarz, potem na "bormaszynie". Siostra kreśliła na blachach. A poza tym w te wielkie mrozy - 60°C, musiałyśmy wozić na sobie deski do tej fabryki. Zaprzęgałyśmy się do końskich sań i jechałyśmy dwadzieścia parę kilometrów do Tiumieni. Tam ładowali nam dechy jak na konie i musiałyśmy to ciągnąć. Śnieg był straszny, wpadałyśmy po kolana. Pamiętam, że za pierwszym razem, gdy nie miałam jeszcze walonek, jeden inżynier z Leningradu wykombinował, że ma dla mnie jakąś pracę, muszę zostać i im pomóc. Ten jeden raz nie poszłam. Potem trzeba już było te dechy ciągnąć, bo przecież nie było tam żadnych samochodów, ani nawet koni. Wszystko to poszło na front. Zabrali prawie wszystkich mężczyzn, zostały kobiety, dzieci i ludzie kalecy. To były ciężkie czasy.

Chciałabym jeszcze opowiedzieć jedną historię, która utkwiała mi w pamięci, a jest przykładem myślenia tamtych władz. Była straszna burza śnieżna, temperatura dochodziła do 70° mrozu. Cała rodzina zdecydowała, że w taką pogodę do tej fabryki nie pójdziemy. Musielibyśmy iść przecież 3 km w tej zamieci. Siedzimy więc w domu, ale czujemy się trochę niepewnie. W końcu siostra poszła zobaczyć, czy Rosjanki, nasze sąsiadki, poszły. Okazało się, że poszły wszystkie. Nie ma co - lecimy do tej fabryki w ten potworny mróz, w tę śnieżycę, która zapierała dech. Po drodze kombinujemy, jak się tłumaczyć. Wymyśliliśmy w końcu, że tata

szedł z nami, poślizgnął się, potłukł i musieliśmy go odprowadzić do domu. Do fabryki spóźniliśmy się niecałą godzinę. Opowiedzieliśmy dokładnie, co się stało i wydawało się, że wszystko w porządku. Ale za dwa dni nasze nazwiska wiszą na tablicy - mamy zgłosić się do sądu w Tiumieni. Naznaczyli nam termin, więc idziemy tam całą rodziną. Tam słuchamy, co z nami będzie. W końcu sędzina stwierdziła, że musimy przyprowadzić świadka. Wymyśliliśmy od razu, że była z nami jedna Polka. Naznaczają nam następny termin. Idziemy więc znowu - cała rodzina plus ten świadek. Ta Polka zeznaje, że widziała, jak ojciec upadł. No, dobrze, ale potrzebne jeszcze zaświadczenie lekarskie, że ojciec się potłukł. Koniec świata! Naznaczają nam trzeci termin. W fabryce sensacja - Polaczki oddane pod "sud". No, ale musimy jakoś wykombinować to zaświadczenie. Obok naszej wsi była wieś tatarska, w której mieszkała lekarka pochodzenia polskiego. Siostra zebrała trochę polskich rzeczy i poszła do niej prosić, żeby nas ratowała. I ona odważyła się i wystawiła odpowiedni papierek. Idziemy więc do sądu po raz trzeci. Przedstawiliśmy zaświadczenie, obejrzel i powiedzieli, że wynik prześlą do fabryki. Po kilku dniach znów nasze nazwiska wiszą na tablicy - jesteśmy uwolnieni. W ten sposób za tę niecałą godzinę spóźnienia straciliśmy trzy dni pracy.

- Kiedy i w jaki sposób wróciliście do Polski ?

K.M.- Wróciliśmy w marcu 1945 r., ale już za własne pieniądze. Jedna z naszych pań miała kontakt z jakąś kobietą z NKWD. Od niej dowiedziała się, że jak sami wykupimy sobie paszporty, to nas odprawia. Tata się bał, chciał jeszcze czekać, ale my mówimy, że trzeba ryzykować. Chcieliśmy jak najszybciej wyjechać. Sprzedaliśmy wszystko, co jeszcze mieliśmy - ostatnie ciuszki polskie. Chodziliśmy po ruskich gospodarstwach i dorabialiśmy. W końcu wyruszyliśmy. Do granicy jechaliśmy bydłowym wagonem. Tam zatrzymują nas tacy Wopiści (u nich to się nazywa inaczej), oglądają paszporty i w końcu mówią, że nie przepuszczą. Załadowali nas do świńskiego chlewika, gdzie chrumkały świnki. I w tym chlewiku, naokoło kałuży pełnej nawozu siedzieliśmy dwie doby. I siedzielibyśmy jeszcze dłużej, gdyby nie to, że siostry dogadały się z tymi bojcami i poszły sprzątać im strażnicę. I oni powiedzieli wtedy, że potrzebne są nam jeszcze wizy. Więc ojciec z siostrą pojechali do Wołkowiska i tam wyrobili nam wizy. Dopiero wtedy mogliśmy wsiąść do pociągu - jechał akurat jakiś z wojskiem, też bydłowy. I w ten sposób dojechaliśmy do Polski.

Rodzina, nasi najbliżsi w ogóle nas nie poznali. Można wyobrazić sobie, jak wyglądaliśmy. Jak przyjechaliśmy do swojego miasta, to powiedzieli, że Ruscy wracają.

Przez te cztery lata nie mieliśmy żadnego kontaktu z krajem. Oni nie wiedzieli nic o nas, a my o nich.

Wydawałoby się, że ludzie, którzy przeżyli Syberię, powinni odczuwać ogromną nienawiść. My tego nie mamy. Owszem, mogliśmy mieć nienawiść do Stalina, ale do ludzi ruskich - nie! Oni byli sami nieszczęśliwi. Oni byli bardzo biedni. Mówili nam: "Was to przywieźli do baraków, a nas wyrzucili i kazali kopać w ziemi ziemianki". Dlatego nam tylko żal ich było. Oni się tak bardzo bali, że jak przyszedł do nas jeden Rosjanin, to rozmawiał szczerze - jak tylko wchodził drugi - to momentalnie przerywał. Ani słowem się nie odezwał. Swego cienia się bali. To aż trudno pojąć, jak człowiek może być zastraszony. To trzeba zobaczyć, to trzeba przeżyć.

Fakt, że Syberia jest piękna. Taka piękna, świeża, taka zielona w lecie. Rzeka tak ogromna, że trudno było dojrzeć drugi brzeg. I ta woda czysta. Ryby były tak potężne, że kark trzeba było siekierą rąbać. I drzewa - piękne, zwłaszcza cedrowe. Śliczna jest Syberia.

- Czy wszyscy Polacy decydowali się na powrót ?

K.M.- Z naszej miejscowości wrócili wszyscy prócz mojej mamy. Bo mama była chora i zmarła na rok przed naszym wyjazdem, w Wielki Piątek.

Pochowaliśmy mamę w zwykłej skrzynce, zwykłej brzezince.

Jak wyjeżdżaliśmy to nam powiedzieli: "a tylko coś powiedzcie, to wróćcie z powrotem". Ja długo nie mówiłam. Bałam się bardzo.

Rok tylko uczyłam się jeszcze w Gimnazjum. potem zaraz przyjechałam do Gdańska, do szkoły medycznej. Bardzo mi zależało, żeby skończyć ją jak najszybciej, bo przecież jak wróciliśmy z Syberii, to nie mieliśmy nic. Wszystko straciliśmy. Więc uczciwie napisałam w życiorysie, że byłam wywieziona z rodziną na Syberię. Wezwała mnie pani dyrektor i mówi: "Dziecko, ty zmień ten życiorys. Nie wolno ci teraz tak pisać". To były jeszcze stalinowskie czasy, rok 1946.

- ~~Do czego~~ ludzie wracali do kraju ? Przecież większość nie miała tu już nikogo, straciła wszystko ?

K.M. - Wracaliśmy do Polski. My wróciliśmy do swojego domu - fakt, że był rozgrabiony. Ale każdy się jakoś urządzał. A znajomi i sąsiedzi jak widzieli, że dana rodzina była wywieziona, to otaczali serdecznością i pomocą.

Mój brat był AK-owcem. Kiedy wrócił do domu i sprowadził ze szpitala siostrę, to tam był cały sztab AK. W końcu to do Niemców dotarło i zaaresztowali go. Uratowało go to, że żona poszła i powiedziała, że Rosjanie wywieźli całą rodzinę na Syberię. I Niemcy go wypuścili. A inna sprawa, że brat siedział potem u Polaków za to AK.

- Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiały : Anna Najbar i Magdalena Rydel - uczennice II kl. L.O.nr 5

Golanisk 1989.09.04 Wyrażam zgodę na
wydrukowanie

K. Monz